

Zygzakiem.

Dzień 28 listopada — Kościół św. Idziego w Krakowie. — Przygoda krakowskich konserwatywnych konserwatorów wiernie dla krotchwilu opowiedziana. — Niespodziany pojedynek Solskiego z prof. Zawiejskim i niektóre z tego powodu refleksje.

Pod zachmurzonym ale spokojnym niebem budził się nowy dzień świąteczny. Głęboka cisza zalegała domy i ulice miasta, sklepy były pozamykane, drożki nie kursowały, spoczywała także kolej elektryczna. Gromady ludzi zbierały się, rosły, zapęniały chodniki i ulice. Młodzież z czerwonymi przepaskami na rękę pełniła służbę bezpieczeństwa.

Był to dzień manifestacji powszechnej na rzecz rozszerzenia praw wyborczych, przypomnienie pod adresem bezradnego austriackiego rządu, że dłużej nie da się zbywać obywateli tego państwa półśrodkami ani też pod ludzającą formą konstytucji utrzymać wstecznego „porządku“ rzeczy. Myśl ludzka, ruch, życie, to potęgi niezwalczone. Długo kielkują, długo wzbierają, ale gdy wątle formy, co nie przystają do ludzi i czasów, trzeszczą i padać zaczęła — nie ma już siły, któraby powstrzymała moc żywiołu.

Patrzmy na taką chwilę wezbrania żywiołów. Oby ci, w których rękę jest rząd i władza, zrozumieli zadanie, bodajby przejrzyli, że czas ruszyć naprzód, a niebezpiecznie tamować ten ruch żywy, prawdziwy, a więc w biegu wypadków logiczny i konieczny.

Manifestacja była piękna, wzorowa, świadoma. Nigdzie nie zakłócono porządku, nigdzie nie dopuszczono się swawoli. Olbrzymi pochód, w którym wzięły udział wszystkie warstwy społeczeństwa prócz „najwyższych dziesięciu tysięcy“ — miał dobitną wymowę. Nowe życie rozsądza stare formy. Martwa już dziś konstytucja austriacka nie wystarcza dla rozbudzonych dążeń do szerszego społeczno-politycznego życia.

Krótkowidze lub zakamieniali reakcyoniści gotowi i drwić i lekceważyć. Są ślepi, lub nierozważni, ślepymi chcą pozostać aż do dnia swojej zaguby. Każdy uczciwy i sumienny człowiek, bez względu na różnicę przekonań, byleby one były rozumne a zatem zgodne z prawami naturalnego rozwoju i postępu — przyklasnąć musi tej poważnej, świadomej walce o rozszerzenie praw wyborczych. Co więcej, musi uznać i przyznać wyłączną zasługę tym, którzy walkę tę pierwsi podjęli, prowadzili i rozbudzili te dążenia w społeczeństwie. Dążenia legalne i uprawnione.

Trzeba być bardzo tępym albo dobrej wiary pozbawionym, aby takie dążenia lekceważyć lub ich nie uznawać. Czyż człowiek, który nie chce rozszerzenia praw politycznych ogółu i swoich własnych, jest dobrym obywatelem i pożytecznym czynnikiem w społeczeństwie? Czy jest to nawet uczciwe, pragnąć utrzymania takiego porządku rzeczy, w którym jedni mają wszystko, a inni prawie nic, a nadto ci, co mają, nadużywając swego położenia, wyzyskują wszystko dla siebie?

Rozszerzenie praw wyborczych jest wymogiem sprawiedliwości i uczciwości. Nowe formy życia budzą żywsze tętno, ruch myśli i duchów, konieczny dla jednostki i ogółu, niezbędny dla bytu ludów. Niechaj w granicach nowych, szerszych praw zawre walka choćby najzaciętsza, byleby uczciwym hasłem wszystkich było zmożenie nadużyć, bezprawia, ucisku...

Dlatego dzień 28 listopada 1905 jest dla ludów Austrii historycznym wydarzeniem, dlatego objawom świadomości politycznej i dążeniu do postępu i nowych form politycznego życia należy się szczere uznanie, a jest także obowiązkiem szczerego poparcia tych usiłowań...

U stóp pomnika narodowego wieszczka wołały tłumy ludu o prawa. Rój barwnych sztandarów otaczał wyniosłą postać poety. Tam wypowiedziano wyraźnie wielką myśl: że dla nas samych, dla naszego własnego życia i bytu żądamy praw ludzkich i sprawiedliwych.

* * *

Któż nie zna w Krakowie kościółka św. Idziego, co się wciska niby klin w najbardziej uczęszczaną i ożywioną ulicę Grodzką, a jest otoczony rudą taką, jakiej nawet w najgorszej galicyjskiej dziurze próżnobyś szukał... Kościółek ten, w którym od lat nikt się nie modli, który ponurą swoją absydą, raczej odpycha niż ujmuje — znają wszyscy mieszkający z lęku, jaki każdy prawie musiał przeżyć przeciskając się wąskiem na dwa łokcie przejściem między ciosami tego zabytku, a pędzącym wozem kolei elektrycznej. Jest się bowiem prawie zawsze w niebezpieczeństwie życia. Że tam jeszcze dotych-

czas nikogo nie zmiążdżono, nie przejechano, jest chyba zasługą św. Idziego, który mimo, że go nikt nie odwiedza ani się do niego nie modli, widocznie wiernie czuwa nad zagrożonymi przechodniami.

Uchwalono już w radzie gminnej usunięcie tej rudery, która choć stara i pamiątkowa stała się jaskrawym anachronizmem i wobec wymogów dzisiejszych czasów ostać się nie może... Atoli panowie konserwatorzy krakowscy znaleźli tam jakiś „ganczek“, dla którego nie chcą dopuścić do usunięcia rudery. Chcą koniecznie utrzymać tę Charbde przy ulicy Grodzkiej zapewne tak długo, aż kiedyś nie padnie ofiarą człowiek lub kilku ludzi, rzuconych falą wielkomięjskiego ruchu o zimne ciosy opuszczonego kościoła.

Ach, ci konserwatorzy, z ich gorliwością tam, gdzie jej istotnie nie potrzeba...

Przed paru laty naprawiano dom kapituły na przeciw Wawelu, na którym znajduje się obraz Matki Boskiej, podziurawiony od kul podobno tatarskich. Restaurację prowadził s. p. Midowicz. Robota była w pełnym toku, gdy w tem... niemożliwy wypadek zrzadził, że wybrał się tamtędy na spacer podobno p. Tomkowicz czy też inny podobny konserwator. Spojrzał i skamieniał... „wandalizm“, „niszczenie pamiątek“! Zobaczył pod okapem jakieś malowidła... Dostrzegł także, że z gzymś sów sypie się na chodnik piasek z szesnastego stulecia ku niepowrotnej stracie dla polskiej sztuki. Konserwator miał czas, więc zaalarmował od razu magistrat, radę miejską, straż ogniową i jeszcze kilka innych instytucji. Roboty wstrzymano a wybrana komisja konserwatorów, obejrzawszy miejsce, rzekła, że istotnie nie tylko wysypała się już bardzo znaczna ilość piasku z szesnastego wieku, ale, że malowidła pod okapem są wspaniałym zabytkiem malarstwa z epoki odrodzenia. Powstał ogromny spór o autora tych fresków, który był oczywiście Włochem. Krakowska akademia umiejętności wyasygnowała już nawet poważną sumę na napisanie dzieła w tej kwestyi, a dr Klemens Bąkowski dzień i noc pracował nad badaniem owego historycznego piasku.

I oto s. p. ks. Midowicz rozwił te piękne złudzenia. Pewnej nocy zjawił się na zgromadzeniu trawionych gorączką wielkiej idei konserwatorów, wiodąc ze sobą starego, ale jeszcze rzeźkiego staruszka, Pawła Czuchrę z Krowodrzy murwanej, malarza pokojowego z zawodu. „Oto jest, rzecz, ten Włoch, autor fresków z szesnastego wieku. Malował on je przed 15-tu laty, z mojego polecenia“. Budowę poprowadzono zatem dalej, a zamiast poprzednio zamierzonej rozprawy ogłoszono zbiorową pracę wszystkich krakowskich konserwatorów p. t. „Przestoga i głośnie wzywanie do wielkiej ostrożności przy restaurowaniu starych domów w Krakowie z powodu możliwych fresków z XVI-go wieku“. Książka ta jest już unikatem, gdyż ją w lot rozchwytała rozgorączkowana publiczność.

Ach, ci konserwatorzy!...

* * *

Pan Solski, znany nam już dobrze przedsiębiorca teatralny, przywiózł nie tylko ze Lwowa „talent“ w postaci p. Ireny Solskiej, ale także ogromną dozę rycerskiego animuszu, którym zaraził nie tylko członka ligi przeciwpojedynkowej p. Władysława Leopolda Jaworskiego, oraz potomka bynajmniej nie z mieczem, ale z łokciem i wagą oswojonych Feintuchów, p. Rudolfa Starzewskiego, redaktora „Czasu“, ale, co gorsza, omal nie pozbawił życia znanego i powszechnie lubianego p. Zawiejskiego, twórcy krakowskiego teatru.

Sprawa miała się tak:

P. Zawiejski, pragnąc aby teatr krakowski, jego dzieło, wieczór wyglądał przyzwoicie, domagał się, by wielki świecznik we widowni płonął podczas przedstawień. Pan Solski z oszczędności nie kazał jednak świecić, motywując to zarządzeniem słowami: „Ja ani p. Mikucki na to nie mamy, a więcej już nie możemy okradać naszych aktorów i służby“. Wreszcie zagroził p. Zawiejskiemu, że mu odbierze stały fotel w teatrze, na co p. Zawiejski oświadczył, że o ten fotel wcale nie dba, a na dowód, może p. Solskiemu na tym fotelu „coś“ zostawić i wynieść się z teatru.

Na takie „dictum“ obudził się w p. Solskim, zgadnijcie co?... honor!... Honor w panu Solskim, co?... Rzecz zaczyna być interesująca...

Postanowił tedy wyzwąć Zawiejskiego na pojedynek, atoli, o ile możliwości, w ten sposób, aby pojedynek do skutku nie przyszedł. Wybrał tedy na swoich sekundantów p. Władysława Leopolda Jaworskiego, urzędowego katolika i członka ligi

przeciwpojedynkowej, oraz p. Rudolfa Starzewskiego, redaktora „Czasu“, licząc, że płynąca w żyłach tego polskiego konserwatysty krew Feintuchów, będzie hamować niewczesne wybuchy rycerskiego animuszu.

Cel został osiągnięty. Na naradzie sekundantów postanowiono, że wyrażenie p. Zawiejskiego mogło tylko obrazić fotel, a nie p. Solskiego, gdyż p. Zawiejski nie zdradził wcale chęci pozostawienia „czegoś“ na głowie p. Solskiego. Do pojedynku zatem niema powodu.

W ten sposób wyszedł p. Solski z całej sprawy „obronną ręką“, uniknął bowiem bardzo dla niego niebezpiecznego rozpatrywania kwestyi, czy on, ze względu na dawniejsze *curriculum vitae* jest w ogóle zdolnym do załatwiania spraw honorowych w taki sposób. P. Władysław Jaworski działał w tym wypadku jako członek ligi przeciwpojedynkowej, zaś p. Starzewski szedł za głosem swojej półkrwi.

Skończyło się więc po obywatelsku, a „honor“ p. Solskiego mimo dotkliwej obrazy... fotelu, pozostał nienaruszony. *Vide.*



Enfant terrible.

Matka: Elżuniu, pobiegnij do rzeźnika naprzeciw i popatrz, czy ma nogi cielece.

Elżun'a (powracając): Mamusiu, nie mogłam nic widzieć, bo miał buty na nogach...

Dobra różnica.

W towarzystwie pvtają pewnego faceta, jaka zachodzi różnica między wypadkiem a nieszczęściem — ten zaś tak odpowiedział na zadane mu pytanie:

— Gdy idę ulicą z moją teściową, a ta się o wystający kamień potknie i upadnie, to jest wypadek — a jak wstanie, to wówczas jest nieszczęście...

Różnica.

I. terminator: Wiesz, Ferdyk, teraz to ci już wiem, jaka je różnica między majstrem a czelodnikiem.

II. terminator: Jako? Rzeknijże...

I. terminator: Wis, to ci psiokrew tak jeżdż jak ci panie czelodnik zachoruje, to się pedo, co jest kirny — a jak ci się majster skirzy, to się mówi, że jest chory...

Po co to pytać?

We wagonie tramwaju elektrycznego siedzi jakiś jegomość między dwoma paniami, z których jedna starsza i kolosalnie brzydka, druga zaś młoda i przystojna.

Gdy wszedł konduktor, powiada jegomość:

— Dwa bilety do kolei.

— A która z tych pań do pana należy? Ta czy ta?

— Gdybyś pan wiedział, jaki ze mnie pechowiec — odpowiada pasażer, wdychając — tobys mię pan wcale o to nie pytał!...

Szczęście.

— Czy hrabia miał wczoraj szczęście na polowaniu?

— Kolosalne! Wyobraź sobie, nie trafił.

— I ty to nazywasz szczęściem?

— Rozumie się, bo gdyby co trafił, to chyba naganiacza w nogę.

Troskliwy ojciec.

— Cóż to, odprawileś swoją bonę?

— Tak!

— Dlaczego? Taka szykowna!

— A bo widzisz, mój kochany, była zanedo troskliwą i uważającą dla dzieci, a dla mnie nie miała najmniejszych względów...

